

Odpowiedzialność i trudności związane z pozycją spadkobierców wielkiego twórcy, a szczególnie Zofii Kossak

François Rosset (Université de Lausanne)

Pozwólcie Państwo, że zacznę od osobistego wspomnienia. Było nas ośmioro kuzynów, wnuków Zofii i Zygmunta Szatkowskich. Chociaż mieszkaliśmy jedni w Anglii, drudzy w Szwajcarii, z dziadkami spotykaliśmy się co roku na cały okres letnich wakacji w Górkach Wielkich na Śląsku cieszyńskim, dokąd Szatkowscy powrócili w 1957 r. po 12 letnim doświadczeniu przymusowej emigracji. Dziadkowie, byli dla nas po prostu dziadkami. On opiekuńczy i surowy jak przystawało na byłego oficera zawodowego, ona kochająca życie, ciepła i serdeczna, bezpośrednia w obejściu, dbająca o to, by się budziły i rozwijały w nas podziw oraz zainteresowanie przyrodą, światem, tajemnicami ludzkiego życia. Po prostu babcia, choć z tych najlepszych.

Dość wcześnie jednak zaczęły mnie intrygować znaki pokazujące, że dla wielu dorosłych, ta normalna i kochana babcia nie była normalną, a przynajmniej zwykłą osobą. Dlaczego moja babcia miałaby być szanowana jako niezwykle człowiek, a co gorsza dlaczego zaczynałem odczuwać, że z powodu jej niezwykłości patrzono i na nas trochę inaczej, z jakimś szacunkiem dla dziecka zupełnie niezrozumiałym i bardzo krępującym? Czy ja jestem tym sobą, którego staram się każdego dnia głębiej poznawać, czy też jestem, jak dorośli powiadają, „wnukiem Zofii Kossak”? Na szczęście ani babka, ani matka, ani pozostali członkowie rodziny wcale nie dawali potwierdzenia, że mielibyśmy być wyjątkowi z powodu szacunku wyrażanego wobec babci, która sama zazwyczaj z tego szacunku jak i z każdej ceremonialności urządzonej wokół niej, śmiała się serdecznie.

Wiedziałem, że pisarz to ktoś, kto pisze książki a w wypadku babci dowiedziałem się z mojego dziecięcego doświadczenia, że znacząca pisarka, to ktoś, kto potrafi najtrudniejsze rzeczy wytłumaczyć jasną i barwną narracją; ktoś, kto posiada mądrość jak i klucze do przekazywania tej mądrości. Zrozumiałem to nieco później, bo dość długo myślałem, że babcia i pisarz to jedno i to samo, że zapewne każda babcia jest pisarzem. Na pewno zaś nie wiedziałem, że pisarz to ktoś, kto wykonuje określony zawód i że ten zawód, jak każdy inny, ma swoje wymagania, reguły funkcjonowania, ramy administracyjno-prawne, specyficzny rodzaj etyki, itd.

Dopiero w wieku dorosłym zorientowałem się, że ten zawód ma jeszcze to do siebie, że po jego zakończeniu pozostawia po sobie liczne i wcale niełatwe obowiązki. Będąc w rodzeństwie jedynym „literatem”, na mnie przypadło najbliższe towarzyszenie matce przy rozwiązywaniu licznych spraw wynikających z praw autorskich. Przy okazji dowiedziałem się nie tylko, że takowe istnieją i co one oznaczają, ale również że wymagają całkiem niemałej troski.

Jednocześnie postępując na literaturoznawczej drodze, którą wybrałem jako kierunek studiów, spotkałem się dość szybko z teoretycznymi kwestiami związanymi z pojęciem autora i autorstwa. Czasy w dziedzinie teorii literatury były burzliwe i pasjonujące. Nie było żadnych pewników, które by nie ulegały gruntownej rewizji, jeśli nie bezwzględnego demontażu. Nowymi punktami odniesienia stały się tekst, język, struktury i formy, wzory, intertekstualność a w końcu czytelnik. Ogłoszono hucznie „śmierć autora” wykazując, że teksty są wynikiem procesu, w którym głównej roli nie odgrywa osobowość twórcza danego pisarza, lecz uruchamiane przez niego mechanizmów języka w połączeniu z wzorami gatunkowymi, antropologicznymi strukturami wyobraźni i innymi schematami retoryczno-dyskursywnymi.

W międzyczasie przeszła lawina autofikcji i subiektywizmu w światowej twórczości literackiej, jako rodzaj odpowiedzi na te najbardziej radykalne propozycje zakładające całkowitą autonomiczność tekstów, aż do totalnej anonimizacji. Dzisiaj o takiej koncepcji tekstów nie mówi się już praktycznie w ogóle poza doświadczeniami z uruchamianiem nowego rodzaju „pisania automatycznego” za pomocą programacji komputerowej, ale przetrwało jedno bardzo mocne przekonanie, które znacznie rozszerza i wzbogaca pole literatury, przekonanie wyrażone przez najwybitniejszych twórców XX-go wieku jak Borges, Calvino, czy Gombrowicz, przeczuwane już dawno temu przez takich autorów jak Sterne, Diderot czy Jan Potocki, przekonanie o tym, że tekst jest zawsze czymś więcej – a czasami nawet czymś innym – niż to, co jego autor chciał w nim napisać, że osiąga swoją pełnię dopiero, gdy poddany jest próbie odbioru, przy którym jawi się nowa, rozszerzona przestrzeń znaczeniowa o granicach nieustalonych i mobilnych, gdyż wyznaczone są każdorazowo przez każdego kolejnego czytelnika. Tym samym czytelnikowi nie tylko przyznaje się wolność w interpretacji tekstów, ale wyznacza mu się współudział w tworzeniu sensu dzieła, wręcz statut współautora tekstu. Osobiście taki pogląd na literaturę mi odpowiada i obserwuję z dużym zaciekawieniem jego konsekwencje we współczesnym rozwoju literaturoznawstwa, w postaci np. całkowitej odnowy teorii czytelnika, czy nowych kierunków, w których odświeżane są nieco skostniałe już koncepcje narratologii. Mam świadomość, że traktuję tutaj o wielce skomplikowanych sprawach w sposób

bardzo uproszczony, ale był mi potrzebny ten *excursus*, by móc zastanowić się w nieco głębszy sposób nad sytuacją posiadaczy praw autorskich danego i nie swojego dzieła, a konkretnie nad sytuacją moją oraz mojego rodzeństwa i kuzynostwa wobec dorobku Zofii Kossak.

Zacznijmy od spraw mało ciekawych, związanych z techniczno-prawną obsługą tych praw. Ich ochrona jest bardzo ważnym obowiązkiem przede wszystkim dlatego, że ktoś musi pilnować, czy zamierzone wydanie będzie realizowane przy wystarczającej gwarancji, że tekst nie zostanie naruszony, czy to celowo, czy to przez zaniedbanie. Autor i potem jego przedstawiciele muszą też wiedzieć, kto i w jakim celu posługuje się jego twórczością, która zostaje ich własnością przez 70 lat po śmierci samego autora. Następnie wchodzi w grę sprawa honorariów, które w naszym przypadku nie są znaczące i w dużej mierze zasilają kasę Fundacji im. Zofii Kossak w Górkach Wielkich. Pieniądze nie są ważne jako takie w tej sprawie, ale są one znakiem materializującym umowę zaufania, która zostaje zawarta między posiadaczem a użytkownikiem praw chroniących taki czy inny utwór. Są symbolem dokonanej *lege artis* transakcji. Wszystko to wydaje się oczywistym.

Tymczasem w rzeczywistości widzimy, że to wszystko wcale nie jest oczywiste dla wszystkich. Ileż razy musieliśmy interweniować tu w Polsce, by czasopisma, wydawnictwa, organizacje różnego rodzaju, rozgłośnie radiowe szanowały prawa autorskie, których autorytet nie był i nie jest kwestionowany – przynajmniej oficjalnie – przez żadne formacje ideowo-polityczne w Polsce, jak i w świecie! Dziwne i przykre, że najwięcej problemów mieliśmy z ogólnokrajową gazetą i ogólnokrajową rozgłośnią o profilu konserwatywno-katolickim, które zaczęły wydawać i emitować *Krzyżowców* bez żadnego porozumienia z nami. A gdy postawiliśmy pytanie, czy nie należałoby wyjaśnić sprawę praw autorskich, w jednym i drugim wypadku czytelnicy i słuchacze zostali zawiadomieni, że spadkobiercy pisarki nie wyrazili zgody na dalsze publikowanie odcinków. A my nie otrzymaliśmy żadnej odpowiedzi na nasze zapytanie.

Nie wspominam o tym, w celu polemizowania z kimkolwiek, ale po to, by podkreślić, że w przypadku autorki postrzeganej (słusznie) za szczególnie zaangażowaną w sprawach bytu i kultury narodowej, może istnieć pokusa, by uważać, że takie dzieło należy do wszystkich, którzy programowo podają się za prawowitych obrońców interesu narodowego i że w takiej sytuacji prawa chroniące dobra osobiste nie muszą być respektowane. Upomnienie się o nie jest wtedy traktowane jako szkodliwa działalność i na darmo człowiek usiłuje przypominać, że prawo pozostaje prawem.

Ten przykład jest anegdotyczny, lecz naprowadza nas do sedna sprawy, o której chciałbym tutaj wspomnieć. Chodzi o takie pytanie: skoro uznaje się konstytucyjnie zagwarantowaną wolność słowa, skoro ma się pełną świadomość tego, że utwór literacki posiada nie *de jure* ale *de facto* niezliczoną ilość potencjalnych współautorów w postaci czytelników, jak należy traktować prawo autorskie i bronić tego, co ono gwarantuje? Inaczej mówiąc: czy spadkobiercy pisarza mają słuszność dbając o to, żeby utwory ich przodka nie były wykorzystywane i propagowane wbrew ideom zawartym w dziele autora? Co nasuwa następne pytanie: czy spadkobiercy autora wiedzą naprawdę jakie były te idee, czy mają wystarczający autorytet, by o nich decydować?

Odpowiedź może być prosta: nie my mamy decydować o tym, jakie interpretacje dzieł Zofii Kossak mają być prawidłowe albo nie. Natomiast może mniej jako spadkobiercy ale po prostu z punktu widzenia uczciwości intelektualnej, literaturoznawczej rzetelności, etyki obywatelskiej i etyki w ogóle poczuwamy się upoważnieni do przypominania tego stwierdzenia filozofa kultury Paula Ricoeura, że jeśli każda interpretacja jest dozwolona, to istnieje skala mniej lub bardziej relewantnych i adekwatnych do dzieła interpretacji, zależnie m.in. od stopnia znajomości komentowanego dzieła. Dla tego w przypadku Zofii Kossak nie uważamy za wygórowane oczekiwanie, że jeśli ktoś publicznie odnosi się do jej tekstów albo do jej postawy, to powinien to robić z pełną znajomością całokształtu tego zagadnienia.

Historia literatury jest też poniekąd historią pomyłek i błędzenia w ocenie utworów, co do ich wartości literackiej, jak i co do przekazywanych treści. Autor, który się boi być ofiarą takich pomyłek nie powinien publikować w ogóle. Do tej nieco niepokojącej ale nieuniknionej rzeczywistości, dochodzi jeszcze inne niebezpieczeństwo, które objawia się wtedy, kiedy odbiór dorobku artystycznego twórcy miesza się z oceną jego czynów jako obywatela i w ogóle jako człowieka w świecie. W tej perspektywie jawi się dodatkowo w tej już dość skomplikowanej sprawie chronienia praw autorskich kwestia wizerunku, która już z samą literaturą nie ma wiele wspólnego. Ale w przypadku Zofii Kossak okazuje się, że te dwie sprawy występują ciągle w połączeniu. Ostatnio lubelski historyk, specjalista od badania trudnych relacji polsko-żydowskich w czasie okupacji niemieckiej powiedział na temat Zofii Kossak, w wywiadzie opublikowanym przez *Tygodnik Powszechny*, że była ona „drugorzędną pisarką i pierwszorzędną antysemitką”. Czy my jako potomkowie mamy reagować na takie stwierdzenia, które wykazują przede wszystkim brak dyscypliny intelektualnej i tendencję do tandetnego efekciarstwa słownego z podłożem oceny na poziomie czystego przesądu? Czy my jako potomkowie mamy reagować, gdy ugrupowania skrajnie nacjonalistyczne

wykorzystują wyrwane z kontekstu zdania Zofii Kossak, by nawoływać do niszczenia wrogów i do czyszczenia narodu? Czy my jesteśmy od uczenia rzetelności w nauce, uczciwości w ocenach, odpowiedzialności za słowa? Czy to my powinniśmy mówić jak najszerzej, że dzieło i życie Zofii Kossak z pełnym ich bogactwem, dramatyzmem i energią twórczą, szacunkiem dla każdego i niechęcią do cynicznie nadmuchiwanym podziałów mogłyby i nawet powinny służyć jako fundament do tak potrzebnego dzisiaj w Polsce pojednania narodowego? Możemy tylko ubolewać nad niedostateczną znajomością całego dzieła Zofii Kossak i korzystać z każdej okazji, by naświetlić jego bogactwo, wielobarwność i wielostronność, które zmuszają czytelnika do rewidowania frazesów, propagandowych uproszczeń i naiwnie manicheistycznego obrazu świata.

Na koniec, nawiązując do ostatniej publikacji, która właśnie teraz wyszła tutaj w Lublinie, chciałem wrócić do akademickiego i polonistycznego kontekstu naszego spotkania poruszając delikatną kwestię wydania korespondencji Zofii Kossak. Jest to przedsięwzięcie dużej miary, które powinno być zainicjowane w ramach poważnego projektu badawczo-wydawniczego i przy którym udział spadkobierców autorki byłby na pewno więcej niż wskazany. Jednak nie chcąc nadużywać wyznaczonego mi czasu do wystąpienia proponuję wrócić ewentualnie do tego tematu podczas popołudniowej dyskusji panelowej.